

W OJAZDACH

POLSKI

Nr. 33.

PRENUMERATA we LWOWIE	
Tydzień	kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym	„ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:	
Tydzień	kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym	„ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
 plac Halicki L. 14.
 Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIM	
Tydzień	kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym	„ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.	
Tydzień	kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym	„ 8 „

NA WRÓCONA

NOWELA ZORJANA.

(Ciąg dalszy)

Kto była pani Wilkoska, trudno by powiedzieć, różnie o niej różni mówili. Mieszkała na jednej z głównych ulic miasta, zajmowała dwa ładne pokoje z przedpokojem i kuchnią, umeblowane nie zbyt kownie, ale gustownie i porządnie, płaciła czynsz regularnie. W życiu jej nie znać było zbytku, ale próżnoby w niem szukać niedostatku lub skąpstwa. Żyła wygodnie, płaciła zawsze gotówką, nigdy u nikogo nie zapożyczała się. Zkąd jej na wszystko starczyło, jakie miała źródło dochodów, nie wiedział na pewne nikt. Bo też nie powinno by to nikogo obchodzić. A jednak ciekawe sąsiadki śledziły pilnie każdy krok pani Wilkoskiej, aby koniecznie czegoś bliżej się o niej dowiedzieć. I szeptały sobie na ucho wiele, bardzo wiele, wszystko tylko z ujemnej strony, jednak były to tylko domysły. Pani Wilkoska o nic się nie troszczyła, niedbała, żyła zdala od sąsiadek i starannie unikała bliższej z nimi styczności.

Ta to pani Wilkoska wzięła Musię do siebie.

Z ciasnej, ciemnej izdebki, dostała się nagle ładna dziewczyna do pięknych pokoi, do odrębnego zupełnie życia. Opiekunka jej zajęła się natychmiast wdrożeniem swej pupilki do nowego życia, do nowych jego warunków. W dwa dni zmieniła się Musia do niepoznania. Miała na sobie eleganckie suknie, w jakich dotąd widywała tylko bardzo zamożne panienki, miała najmodniejszy kapelusik i rękawiczki.

Kiedy dawniej z jej odzienia nieledwie bieda przezierała, dziś uderzała w oko wytwornością i elegancją.

Cały ten nowy strój, tak przylegał do skądnej figurki Musi, jakby w nim wzrosła, jakby się doń urodziła. Nie poznałbyś, że te zgrabne nogi często biegały boso po ulicznym błocie, że te rączki przeznaczone były do grubej pracy, te, dziś tak pięknie trefione włosy przywykły gładko — ozdabiać główkę.

Musia była w nowym stroju stokroć piękniejszą. Pani Wilkoska przypatrywała się jej z upodobaniem, na twarzy jej igrał uśmiech — Musi zdawało się, że to objaw radości. Przypatrywała się swemu dziełu i poprawiając jakąś kokardę zawołała:

— Patrz Musiu, jakaś ty ładna!

Musia patrzyła w wielkie kryształowe zwierciadło, widziała, że jest piękną, ale nie mówiła nic, tylko uśmiechała się filuternie.

Uśmiechała się, a w oczach jej jaśniało zadowolenie.

U pani Wilkoskiej nie brakło jej niczego. Żyła jak to mówią, jak u Boga za drzwiami. Miała ładne sukienki, tysiączne fraszki, wyborne łakocie, a przytem wszystkim nie potrzebowała nic a nic robić. Całym jej zajęciem była rozmowa z panią Wilkoską, lub czytanie. Do czytania, to prawda, nakłaniała ją opiekunka bardzo, a zresztą nie trzeba do tego było wiele namowy; książki, których jej pani Wilkoska dostarczała, były tak zajmujące, tak piękne w jej pojęciu, że czytała je z przyjemnością i zaciekawieniem, oderwać się nieraz od książki nie mogła.

Dla czego pani Wilkoska Musię wzięła do siebie, trudno by powiedzieć. Czy był to istotnie czyn miłosierdzia, czy w podszłym już wieku potrzebowała towarzystwa młodej dziewczyny, a mając byt niezale-

żny, chciała dopomóc sierocie i dobry zgotować jej los? Trudno to odgadnąć. Zdarza się to często, że starsi ludzie mają jakieś dziwne zachcenia, że pragną odżyć życiem swego otoczenia i dla tego przykuwają do siebie nie raz takie ofiary kaprysu. Nie mając dla tych towarzyszków swoich żadnych obowiązków, nie myślą serjo i uczciwie o ich przyszłości, lecz często dogadzaniem i umyślnem psuciem, sięją ziarno najgorsze.

Czy takie były powody, skłaniające panią Wilkoską do zajęcia się Musią, czy też inne, dość, że okazywała jej tysiące dowodów łaski i nie tylko, że wszystkim dogadzała zachceniom, ale nawet nowe w dziewczęciu budziła. A jednak wyglądało to wszystko tak, jakby Musia lalką, zabawką od nudów była dla pani Wilkoskiej. Może jej takiej rozrywki było potrzeba, bo żyła prawie samotnie. Rzadko kto kiedy do niej przychodził, rzadziej jeszcze ona u kogo bywała. Z niewielu wszakże osób, które u pani Wilkoskiej bywały, można było wnosić, że miała niegdyś rozległe stosunki i to w sferze tak zwanej, a tak powszechnie nie lubianej arystokracji. W rozmowach z Musią często potraçała o stosunki tych sfer, znała doskonale wszystkie koligacje, wszystkie głośnie i tajemnicze sprawy zamożnych rodzin w kraju, słowem, mówiła o tem tak, jakby sama do tej sfery należała.

Oprócz kilku innych osób, bywała od czasu do czasu u pani Wilkoskiej niejaka baronowa Rucka, a ci co bliżej znali stosunki, mówili, że między nimi jest jakieś, niedalekie nawet, pokrewieństwo.

Baronowa okazywała zawsze wiele przychylności Musi. Rozmawiała z nią wiele, śmiała się wraz z młodą swywolnicą — sama była jeszcze młodą i bardzo piękną — całowała jak siostrzyczkę, a co nie mało Musię dla niej zjednało, że nie przyszła

nigdy, nie przyniosłszy jakiego prezenciku płochej, lubiącej błyskotki dziewczynie. Między darami tymi były nieraz i dość kosztowne. Musia cieszyła się nimi i obdarzała w zamian baronowę tysiącami objawami serdecznej przychylności i przywiązania. Nie znając prawie nikogo, polubiła Musia piękną baronowę, tem bardziej, że zauważała, iż ta miała wielki wpływ na panią Wilkoską, która ze swej strony zawsze wychwalała Musi baronowę i wiele mówiła o jej dobroci.

Oprócz tych rzadkich odwiedzin, do miłych rozrywek zaliczała Musia przechadzki. Gdy pogoda sprzyjała, wychodziła z panią Wilkoską do ogrodów miejskich i innych miejsc publicznych. Musia była zawsze stosownie i ładnie ubrana, a że matka natura, nie skąpiła jej urody, wyglądała zachwycająco. To też, kiedy przechodziła z swą opiekunką ulicą lub aleją, zwracała powszechnie wzrok na siebie. Ten i ów przystanął umyślnie, aby lepiej okiem objąć ładną postać dziewczęcia, a wykrzykniki *jaka piękna!* nie rzadko dały się słyszeć. Musia nie znała nikogo, z przechodniów, a jednak niektórzy z nich musieli ją choćby trochę znać, bo nie raz w kółku gapiącej się młodzieży na zapytanie: *kto to?* rzucił ktoś w odpowiedzi: *Musia!*

Nazywali ją Musią i gonili wzrokiem, i wszyscy powtarzali: *jaka piękna!*

A ona może słyszała te wykrzykniki, i uśmiech zadowolenia igrał koło jej ust; czuła to najlepiej, że była ładną, że się podobała i czarującym swem oczkiem mrugliwym wodziła, nie patrząc na nikogo, dokoła. Jej oko nie zatrzymało się na nikim, a na nią zwracały się tysiączne spojrzenia.

Była zadowolona, szczęśliwa.

Warunki życia, wśród jakich się znajdowała, podobały jej się, i ani myślała o ich zmianie. Nie myślała o niczem. Zapomniała o przeszłości, o ubiegłych latach dziecięcych, o towarzyszach i towarzyszkach zabaw i igraszek, o niskim domku na przedmieściu, o ciemnej izdebce, o matce nieboszczce, o zapomnianej, zapadłej może mogile rodzicielskiej.

A ojciec?

Ojciec nie zapomniał swego dziecięcia. Myślał o niej często, gdy powróciwszy z pracy na twardem posłaniu nie mógł usnąć, bo jakieś wspomnienia i przywidzenia go trapiły. Myślał o córce i żałował do niej, że nie odwiedzi nigdy ojca starego, choć żegnając go powiedziała:

— Ja tam do taty kiedy przyjdę...

Czuł żal do córki, a sam nie szedł do niej, bo — wstydił się. Wiedział, że córka jego opływa w dostatkach, że chodzi strojna w kosztowne suknie, widział ją niekiedy przechodzącą ulicą, ale nie zbliżał się, krył, bo był odziany ubogo, jego ręka była twarda od pracy i czarna, jej odziana w wytworną rękawiczkę.

Ojciec bał się zbliżyć do córki, aby się nie potrzebowała wstydić jego zgrzebanej, podartej odzieży.

Tak minęły dwa lata. Musia skończyła szesnastą wiosnę. Baronowa przychodziła do Wilkoskiej częściej, zajmując się

przeważnie Musią. Wzięła ją nawet kilka razy do siebie, gdzie dziewczynie bardzo się podobało. Musia była dziewczyną płochną, od pierwszych dni życia dziecięcego. Każda błyskotliwa fraszka zajmowała ją, bawiła; serjo nie zastanowiła się dotąd nad niczem. Baronowę lubiła bardzo, bo ta dogadzała jej zachciankom, ukazywała świat z tej powabnej, nęcącej strony, z której go Musia nie znała, a jednak od pierwszej chwili lgnęła do niego.

Ładna dziewczyna, podobała się baronowej, która jej też zawsze wiele przychylności okazywała. Cieszyła się postępkami Musi, a były one bardzo ważne i wielkie. Na czem polegały, trudnoby dokładnie określić, to tylko pewne, że nauka i wykształcenie gruntowne zupełnie były z systemu wychowawczego pani Wilkoskiej wykluczone. Lecz za to umiała Musia ładnie tańczyć, śpiewała, nie tyle umiejętnie ile przyjemnie i dźwięcznie, a nawet grała na fortepianie. Już to prawda, że co do gry i śpiewu, przypadały jej do gustu tylko rzeczy melodyjne, i lekkie, żadna kompozycja poważniejsza, głębsza, a tem samem trudniejsza nie znalazła u niej łaski. Kiedy nauczyciel nalegał, brała czasem nutę kompozytorów klasycznych, ale już po kilkunastu taktach opadały ręce, a dziewczę kapryśne wołało:

— Ach jakież to nudne!

A jednak baronowa Musię lubiła bardzo. Nie raz wiodła o nią spór z Wilkoską, a o uszy dziewczyny, będącej w drugim pokoju, obijały się słowa:

— Nieznośna jesteś z twoim uporem. Zamknęłaś się jak w klasztorze, i nie wiem na co więzisz ją także. Widzisz sama, że dziewczę ładne i zdolne, otworzyć jej tylko nasz świat, a pewno zrobi karierę. U ciebie stracona każda godzina — szkoda dziewczyny.

Pani Wilkoska odpowiadała coś na to długo, ale Musia nigdy nie mogła jej podsłuchać, choć bardzo była ciekawa dowiedzieć się, co też za cel ma jej opiekunka. Sama chętnieby zgodziła się na propozycję baronowej.

Wreszcie baronowa zwyciężyła. Wilkoska musiała nagle wyjeżdżać, więc uległa naleganiom baronowej i oddała jej Musię.

Shczęśliwa dziewczyna! Słano jej drogę różami, a wszystko co złe, przykre i twarde usuwano w jej życiu starannie, tak, że aż dotąd nie miała nawet pojęcia o życiu na prawdę. Bieda, niedostatek, ubóstwo uciekało od niej, z każdym dniem nowe otwierało jej się szczęście, zdawało jej się, że raj prawdziwy widzi przed sobą.

Kto była baronowa Rucka?

Kobieta wielkiego świata, jakich wiele, czy mało, nie wiemy, to pewno, że nie była jedyną. Płocha zdaje się z natury, wychowana w zbytkach, zepsuta i rozkapryszona, zajmowało ją wszystko na świecie, tylko nie obowiązki. Wydana wcześniej za męża, nie znalazła szczęścia, bo natrafiła na charakter również jak jej lekki, niestateczny. Mąż hulął za domem, najczęściej za granicą, żona ziewała przez kilka tygodni, a potem, jakby szukając odwetu,

rzuciła się także w szalony wir życia. A w życiu, o cóż łatwiej, jak o rozrywki; kto ich tylko szuka, znajdzie podostatkiem, aby przeżyć lata całe z dnia na dzień. O kres takiego życia lepiej i nie pytać.

Baronowa była piękna, młoda, majątna, więc nie dziw, że takich, którzy nieśli rozrywkę, było bardzo wielu. Aż dotąd nie nudziła się. Miała rozliczne stosunki, bywała wszędzie, ale co najdziwniejsza, że wśród tego życia znalazła czas i ochotę odwiedzać panią Wilkoską. Oprócz wężła pokrewieństwa, który je łączył, było jeszcze niezawodnie coś innego, co obie te kobiety zbliżało, dość, że baronowa od czasu do czasu zaglądała do swej wujanki.

Do baronowej więc przeniosła się teraz Musia.

Na pierwszym piętrze, w jednej z najładniejszych ulic zajmowała baronowa apartament złożony z kilku pokoi i salonów. Na przybycie Musi kazała urządzić elegancki buduar, darząc swą przyszłą towarzyszkę przepychem i zbytkiem.

Musia, która dotąd żyła wśród dostatku, znalazła się dziś otoczona prawdziwym przepychem. Teraz dopiero poznała te tysiączne fraszki i graciki, które zapełniały mieszkanie dla ozdoby, wygody, — i najrozlicniejszych wymysłów. Teraz dopiero zapoznała się z obcemi dla niej przyborami kobiecej, wykwintnej toalety, słowem cały nowy świat przed nią się otworzył.

Miała osobny pokój, miała świetne stroje, wszystko, co zbytek i wymyślność stworzyły, znalazła koło siebie. W dodatku miała baronowę. A to znaczyło ponoś najwięcej, raz, że ją Musia lubiła, powtóre Rucka była doskonałą mistrzynią życia — rozumie się w jej pojęciu. Ona to była doradczynią w wyborze sukien, ona radziła, jak najładniej, najstaranniej utrefić włosy, we wszystkim służąc za wzór. Na nią się zapatrując uczyła się Musia naśladować każdą »piękną«, jak mawiała baronowa, pozę, ona uczyła optyki, nieznaną każdemu, a tak potrzebnej, by umieć zawsze wywołać efekt światła i barw. Uczyła tego wszystkiego w częstych rozmowach, tłómacząc zawsze, że tak jest pięknie, tak wymaga elegancja, dobry ton i t. d.

Musia była pojętną uczennicą, po krótkim przeciągu czasu w niczem nie ustępowała swej mistrzyni. Za jej poradą i pod jej kierownictwem czytywała także wiele. Znając baronowę, można sobie wyobrazić, jaki to był kierunek lektury. Musia uczyła się chętnie i kochała swą nową towarzyszkę i opiekunkę, widząc w niej prawdziwą przyjaciółkę. Nigdy żadna zła w jej głowie nie powstała myśl, nie znała świata i ludzi, nie miała pojęcia o dobrem i zepsuciu, wszedłszy w ten świat sądziła, że takim być powinien, że w nim jest szczyt dobroci. Taką gorliwą miała baronowa zwolenniczkę w Musi, tem bardziej, że to była dziewczyna z natury swawolna, lubiąca próżniactwo i błyskotki. Podobało jej się życie baronowej, zabawy i rozkosze przypadały jej do smaku.

(Dokończenie nastąpi.)

WSPOMNIENIA I PISMA Z CZASÓW MOJEGO WYGNANIA

przez

LUDWIKA KOSSUTHA.

Przed niedawnym czasem znany patriota węgierski, Ludwik Kossuth, wydał część pamiętników swoich pod napisem: „Wspomnienia i pisma z czasów mojego wygnania“ odnoszące się głównie do tak zwanej wojny włoskiej. Sądźmy zatem, że zrobimy czytelnikom przyjemność, przytaczając kilka ustępów z tych wspomnień, a mianowicie z epoki poprzedzającej wypowiedzenie przez Austrię wojny Włochom. O ile Kossuth miał udział w naradach poprzedzających wojnę, i o ile liczone na Węgrów, poznają czytelnicy z tego, co sam o sobie pisze.

Austria kładzie tamę domysłom i niepewnościom, wypowiadając wojnę. — Kossuth zostaje wezwany do Paryża.

Memorjał mój odniósł ten skutek przynajmniej, że dzięki niemu i Cavour, i książę Napoleon, i cesarz dowiedzieli się, że ludzą się niepotrzebnie, przypuszczając możliwość wyzyskania Węgier gwoli własnej wyłącznie korzyści; miałem bowiem nietylko wolę, ale i władzę, aby temu zapobiedz.

Od owej pory zaszły ogromne zmiany. Węgry stały się Transleithanią, ja zaś z wygnanego, stałem się odtrąconym...

Pomimo to dziś jeszcze uczuвам wielkie ukojenie, kiedy pomyślę, że byłem wówczas w możności ustrzedz kraj mój od niebezpieczeństwa, od klęski poświęcenia się za sprawę cudzą.

Wszelako następstwa memorjału, jakkolwiek doniosłe, miały znaczenie raczej negatywne. I w dopięciu tego celu jednak miałem jeszcze wiele do zrobienia. A najprzód rezultat mojego działania, moich usiłowań, zależnym był wprost od tego kardynalnego pytania: czy kongres (a więc pokój) będzie wypadkowym wynikiem dotychczasowej dyplomatycznej kampanji, czy też następstwem jej będzie wojna?

Odpowiedź na to pytanie była tak niemożliwa do ostatniej niemal chwili, że nawet strony bezpośrednio sprawą zainteresowane nie mogły stanowczo wiedzieć, na co liczyć, co przewidywać mają.

Wczytując się dzisiaj, po dwudziestu latach, w dokumenta dyplomatyczne z owej epoki, niepodobna wstrzymać się od pobłażliwego uśmiechu w obec różnorodności zapatrywań współczesnych dyplomatów na jedną i tę samą kwestję. Tutaj dopiero w całej pełni okazuje się, jak dalece najbardziej wtajemniczeni w sprawę, nie wyłączając Cavoura nawet, nie przywidywali biegu wypadków, nie wiedzieli co jutro przyniesie.

I tak, lord Malmesbury naprzykład zawiadomił w dniu 30. marca lorda Loftusa, posła angielskiego w Wiedniu, że hrabia Cavour tak gwałtownie się zarysował w Paryżu, iż oświadczył w uniesieniu, że będzie miał wojnę bodaj wbrew wszystkich kongresów („he will have war in spite of the congress“).

Dalej, sir James Hudson, poseł angielski w Turynie, donosił pod datą 3. kwietnia lordowi Malmesbury, że Cavour wrócił z Paryża, w usposobieniu spokojnym, pojednawczem, i że w sku-

tek tego Hudson ma to przekonanie, że kongres zrobiłby wiele w sprawie włoskiej i usunąłby niezadowolenie Włochów.

Tak więc, według pana Hudsona, Cavour byłby skłonny zgodzić się na ten kongres, na samą myśl którego się oburzał, któremu starał się wszelkimi możliwymi sposobami zapobiedz, i któremu ostatecznie zapobiegł!

Ale p. Hudson poszedł jeszcze dalej. Chodziło mu widocznie o sprawienie przyjemności, o ucieśnienie swego zwierzchnika; oznał mu więc, że Cavour ogromnie się ucieszył na wiadomość, że ministerjum torysowskie nie podało się do dymisji po głosowaniu nad reformą wyborczą.

Według tej wersji zatem, Cavour miał cieszyć się z tego, że ministerjum torysowskie utrzymało się przy władzy. Miałby istotnie z czego! Ministerjum to było jak najprzyjaźniej usposobione dla Austrii, i w sprawie włoskiej rządziło się tą zasadą, że posiadłości Austrii we Włoszech są święte i nietykalne!

Nie skończyliśmy jeszcze z angielskimi „mężami stanu.“ Brakuje nam lorda Cowleya.

Lord Cowley, poseł angielski w Paryżu, pod datą 5. kwietnia donosi w największej tajemnicy lordowi Malmesbury, że tylko co otrzymał ze strony hrabiego Walewskiego stanowcze zapewnienie, że Cavour podczas pobytu swojego w Paryżu nie zdołał zachwiać cesarza w jego niewzruszonym postanowieniu utrzymania pokoju.

O mężowie stanu, o dyplomaci!

Pozostawmy lorda Malmesbury z bigosem, jakim go uraczyli obdarzeni „wysokim zmysłem politycznym“ współziomkowie. Obrazek nie byłby zupełny, gdybyśmy do tej galerji nie dołączyli samego Cavoura, który w dniu 29. marca wystosował do generała Lamarmora następującą odezwę:

„Skutkiem pomyłek, oraz rozlicznych niepomyślnych okoliczności, sprawa włoska została poruszona w sposób wiele pozostawiający do życzenia. Wytlómaczę to panu bliżej w Turynie.

„Tymczasem przesyłam wiadomości dotyczące istotnego stanu rzeczy.

„Wojna jest nieunikniona.

„Opóźni się ona wszakże co najmniej o dwa miesiące.

„Widownią wojny będą nietylko Włochy, ale i brzegi Renu.

„Aby wojna mogła przynieść rezultaty pomyślne dla Piemontu i Włoch, należy nam przygotować się na jak największe wysilenia.

„Francuzi zostali wciągnięci do wojny wbrew przekonaniu i nigdy nie przebaczyliby nam (t. j. Piemontowi), gdyby największy ciężar spaść miał na ich barki. Biada nam, jeżeli zwyciężymy tylko dzięki Francji!

„W razie wojny ogólnej możemy kraj nasz ocalić jedynie w ten sposób, iżbyśmy się bili dzielniej od nich i wystawili zarazem siły wojenne większe aniżeli oni.“

Biedny Cavour. I on także niewiele wiedział.

Wojna ogólna nie nastąpiła, nie było nawet o niej mowy.

Nad brzegami Renu panował niczem nie zamacony, błogi spokój.

Wojna nie została opóźniona o dwa miesiące.

Na domiar nieszczęścia Włosi wcale a wcale nie bili się lepiej od Francuzów (choć wyznać trzeba, że bili się dzielnie). Nie czynili też większych wysiłków od Francuzów i nie wystawili też większej siły wojennej od nich.

Dodajmy, że i rezultat tego wszystkiego dalekim był od tego, jakiego oczekiwano. Rzecz szczególna, dziwna. Wbrew pozawieranym tajemnym traktatom, wbrew manifestom, które przyrzekały wyzwolenie Włoch „od Alp do Adriatyku,“ wreszcie wbrew układom z nami rozpoczętym, na mocy których potęga Austrii miała być ostatecznie zniweczona, rezultat był słowo w słowo ten sam, jaki zapowiedział w dniu 7 grudnia 1858 r. Mierosławski przyjacielowi memu Danielowi Iranyi (o czem wspomniałem wyżej). Tak więc żyjący na ustroniu wygnaniec zorjentował się w hieroglifach „polityki osobistej,“ którym cała dyplomacja europejska nie mogła dać rady...

O dyplomaci!

Gdy się to działo, jeden człowiek wikał sieci dyplomatyczne, które sam jeden też wówczas umiał i mógł w danym razie rozplątać. Tym człowiekiem był spokojny na pozór i milczący mieszkaniac pałacu Tuilleryjskiego, Napoleon III. On jeden wiedział na pewno, że wojna wybuchnie.

Wojna spadła jak grom niespodzianie. Cavour tylko wiedział o niej, i to dopiero na jakie dwa tygodnie przed jej wybuchnięciem.

Kropla wody, którą dolano do pełnego naczynia, spowodowała katastrofę. A zdarzyło się to właśnie w chwili, kiedy rząd angielski z prawdziwym zadowoleniem patrzył na obrót wypadków, pochlebając sobie, że dzięki niezmodernizowanym usiłowaniom, usunął wszystkie przeszkody, które stanąć mogły na zawadzie upragnionemu kongresowi.

Pod ową porę przybył do Londynu wysłany przez Cavoura Massino d'Azeglio.

Jego przybycie jeszcze bardziej uradowało lorda Malmesbury. Minister spraw zagranicznych przypuszczał, że d'Azeglio oczywiście wysłany został przez Sycylię, w celu ostatecznego wyrównania położenia i przedstawienia propozycji możliwych do przyjęcia, godziwych, jednym słowem takich, które mają ostatecznie usunąć wszystkie trudności.

Pisał nawet o tem Malmesbury do lorda Loftusa w d. 15 kwietnia 1859 r.

Przeliczył się jednak i tutaj. Czekająca go niespodzianka. Jakoż już w dniu 21 kwietnia pisze Malmesbury do Cowleya, że d'Azeglio żadnej misji szczególnej nie otrzymał, że jedynie ma wybadać w sposób stanowczy intencje rządu angielskiego.

D'Azeglio umiał ukryć swą grę. Nie uważał za właściwe spowiadać się angielskiemu ministrowi z prawdziwych pobudek i zamiarów rządu sardyńskiego; misja zaś jego nie była pokojową; poruczone miał sobie przeszkadzanie kongresowi, który Anglja zdołała już uczynić niemal nieuniknionym. Usiłowanie to powiodło mu się w zupełności.

Jak wiadomo, główną przeszkodą dla kongresu było uparte ze strony Austrii żądanie rozbrojenia Sardynji.

Kwestja ta poruszana była nieustannie, a

za każdą razą inne rozwiązanie miało być jej epilogiem.

Więc miało nastąpić współczesne rozbrojenie Austrii i Sardynji.

Miało być dopełnione rozbrojenie ogólne, to jest nietylko Austrii i Sardynji, ale Francji i t. d.

Wreszcie Cavour, naciskany ze wszystkich stron, zastosował się do rady księcia Napoleona, i w dniu 17 kwietnia oznajmił, że podobnie jak Francja, przyjmuje w zasadzie projekt ogólnego rozbrojenia, stawia wszakże za warunek, że Sardynja przyjmie udział w kongresie na prawach zupełnej równości z większemi państwami europejskiemi.

Otrzymałszy to oświadczenie, zapowiadającą nową, niespodzianą trudność, Anglja po namyśle postanowiła ją usunąć w ten sposób, iż zgodziła się w zasadzie na propozycję Sardynji, i w skutek tego zredagowała projekt rozbrojenia uprzedniego, rzeczywistego i współczesnego Austrii, Francji i Sardynji.

Według tego projektu sprawa rzeczona miała być poruczona sześciu komisarzom. Pięciu z nich delegowało pięć większych mocarstw, szóstego Sardynja. Z chwilą rozpoczęcia działań przez komisję, zwołanyby został kongres, w którym przyjęłoby udział pięć wielkich państw, i tutaj byłyby roztrząsnięte ostatecznie sprawy politycznej natury. Co się zaś tyczy Sardynji, ta wraz z innemi państwami włoskiemi zostałaby zaproszoną do kongresu już po jego otwarciu, a przedstawiciele ich zasiadali by w kongresie wspólnie z przedstawicielami państw większych na takich samych zasadach jak i w r. 1821 na kongresie w Lublanie.

Propozycję tę uczyniła Anglja 19 kwietnia, i jak się wyraził generał Pelissier, telegraf zaczął brzęczeć bez przerwy po całej Europie, depesze następowały po sobie z niezwykłą szybkością.

Rząd francuski przyjął jak zwykle propozycję i uczynił to najszybciej, bo już nazajutrz (20. kwietnia) zawiadomił o tem rząd Wielkiej Brytanii. Poszedł nawet dalej jeszcze, bo starał się wyrzucić nacisk na Turyn, aby tak samo postąpił. Nie było rady, trzeba się było poddać.

Pozostał jednak jeszcze promyczek nadziei.

Było w Piemontie pod bronią 12,000 ochotników, którzy ścignęli tu w przewidywaniu wojny ze wszystkich stron półwyspu. Polecono zatem kawalerowi d'Azeglio, aby dał do zrozumienia rządowi angielskiemu, że rozbrojenie tych ludzi i pozostawienie na bruku może stać się hasłem buntu w całych Włoszech.

D'Azeglio pośpieszył do lorda Malmesbury i w myśl udzielonej instrukcji oznajmił; że „jest to sprawa nietylko politycznej natury, ile porządku publicznego i spokojności, i dla tego rozbrojenie nie może się odnosić do tych 12,000 ochotników.“

Rząd angielski widząc w tem istotnie kwestję podrzędną, zgodził się na to i zawiadomił kategorycznie gabinet wiedeński, że nie mógłby doradzać Sardynji takiego zupełnego rozbrojenia.

Słowa te oddziaływały jak oliwa na ogień.

Dwór austriacki oznajmił, że stanowczo nie przyjmie udziału w kongresie wspólnie z Sardynją, i zażądał rozbrojenia bezwarunkowego, zupełnego.

Ułożone na tej zasadzie ultimatum, zostało niezwłocznie przesłane przez rząd austriacki Turynowi.

Zamiast kongresu, wybuchła wojna.

W ciągu tych fluktuacyj, ilekroć zachodziło prawdopodobieństwo wojny, usiłowano zawsze rozpocząć porozumienie ze mną. Zapytywano mię, jakie są moje zajęcia, jakie zamiary, zapytywano, czy nie byłbym skłonny przedstawić noty w tym przedmiocie.

Pozostawałem w stałych stosunkach z księciem Napoleonem. Pośrednikiem naszym Był Bixio, który mnie o wszystkim informował, ich zaś nawzajem o moich powiadamiając poglądach.

W dniu 29. kwietnia Bixio udał się jak zwykle do księcia i zastał w pierwszej sali oczekujących hr. Teleki i generała Klapkę.

Ujrzawszy go, Teleki zamienił kilka słów po węgiersku z Klapką i odezwał się do pana Bixio:

— Już zmieniliśmy cokolwiek zdanie nasze i jesteśmy gotowi najzupełniej iść ręką w rękę z Kossuthem.

— Dobrze — odrzekł Bixio. Życzę panom powodzenia.

I przy tych słowach wszedł do gabinetu księcia, którego zaraz zapytał, czy książę zastanowił się dojrzałe nad sprawami węgierskiemi i czy nie uważa, że nadeszła już pora wezwania Kossutha do Paryża.

Książę wyraził się gorąco o Węgrzech i dodał, że według niego chwila stanowcza po temu jest nader bliska; ale nie ma jeszcze obecnie ani tej swobody, ani pewności, które uważa za konieczne; chciałby bowiem posiadać możność jawnego oświadczenia, że dąży do zespolenia i równouprawnienia sprawy węgierskiej z włoską, oraz możność kategorycznego zapewnienia, jak daleko cesarz w tym kierunku zająć pragnie. Co do obudwu tych punktów zaś nie jest wstanie wyrazić się stanowczo.

To działo się 29. kwietnia.

Książę przypuścił niebawem szturm do cesarza, a rezultat gorliwej jego działalności był tak nagły i skuteczny, że w dniu 3. maja ujrzałem w Londynie u siebie hrabiego Teleki, generała Klapkę, hrabiego Bethlen i Mikołaja Puky.

Teleki i Klapka oznajmili mi, że książę Napoleon poruczył im zawiadomić mię o tem, że cesarz dozwolił księciu zaprosić mię do Paryża, celem naradzenia się wspólnego.

Zakomunikowałem wówczas moim przyjaciółom warunki, pod jakimi gotów jestem porozumieć się z rządem francuskim w sprawie udziału Węgier w wojnie.

Warunki te zostały przez nich przyjęte.

Ja przyjąłem zaproszenie.

Tegoż samego wieczoru wybraliśmy się wszyscy w drogę do Paryża.

Ja przybrałem pseudonim. Podróżowałem jako *George Brown*. Były wydane rozkazy, aby w podróży mej nie robiono żadnych trudności, nie czyniono żadnych rewizyj, poszukiwań i t. p. Wszystko to było z drogi mej usunięte.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

M Y Ś L I

Bóg jednością, miliony rządzić jego sfera,
Odejmij jedność zerom, zostaną się zera.

Kobiecie On przeznaczył zakres działań mały,
Tylko rodzinne koło, lecz z niego świat cały.

Nie ta prawdziwa wielkość, która w oczy bije,
Źródło, co kwiat ożywia, pod ziemią się kryje.

Szczęśliwy, czyje serce nie pamięta złości,
Bo do takiego Chrystus raz wraz schodzi w gości.

Skromność zwykle unika gwaru i przepychu,
Anioł ma tylko skrzydła, a mówi po cichu.

Serce człowieka skarbem, prawda nas naucza,
Szczęśliwy, komu Pan Bóg użyczy doń klucza.

Tłum czarnych myśli często na mą głowę leci,
Ćmy nocne, a to po co? czyż ta głowa świeci?

Historji życia ludzi wątek wciąż ten samy,
Jeden i ten sam obraz, tylko różne ramy.

T. Lenartowicz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Dyrekcja Szkoły rolniczej krajowej w Dublanach, nadesłała nam wyczerpujące wiadomości i informacje tak o szkole wyższej jakoteż i niższej, które już w gazetach codziennych podane zostały do wiadomości publicznej. Dla braku miejsca nie możemy tu powtarzać szczegółowego programu i zakresu szkół tych rozwijających się i ulepszających z każdym rokiem, lecz uważamy za obowiązek nasz zwrócić uwagę młodzieży obywatelskiej i ich rodziców na ten Zakład, wzorowo prowadzony, w którym nabyć mogą wszechstronnego na teorii i praktyce opartego wykształcenia gospodarczego. Minęły te czasy, gdy najtępsze głowy dzieci przeznaczano na gospodarzy wiejskich; dziś sytuacja rolnika wymaga już specjalnych fachowych wiadomości, opartych na dokładnej znajomości nauk przyrodzonych i innych społecznych, albowiem obecne stanowisko obywatela ziemskiego koncentruje w sobie potrzeby i obowiązki prawie wszystkich innych stanów. Chcąc przewodzić innym, trzeba samemu coś umieć, a że szkoła wyższa rolnicza obejmuje bardzo rozległy program nauk głównych i pomocniczych, dość przejrzyć liczbę przedmiotów tam wykładanych, odczytać spis profesorów, będących znakomitościami u nas na tem polu, aby nabrać przekonania, że nauka traktuje się tam na serio, i że szkoła przy dobrej woli i pilności ucznia może wykształcić na skończonego, fachowego i samodzielnego gospodarza. Galicja jest dotąd krajem wyłącznie rolniczym, a jednak przykro wyznać, że na sześciomilionową jej ludność, jedyna szkoła wyższa Rolnicza, liczyła zaledwie kilkudziesięciu uczniów, z których, jeszcze połowę dostarczały Kongresówka i kraje zabrane. A wołamy i narzekamy na upadek gospodarstwa rolnego, na zastój i grożącą nam ruinę, gdy tymczasem nie dbamy sami o przygotowanie nowych zdolniejszych sił niż te, które dotychczas zajmują się uprawą ziemi. Nic nie pomo-

że — trzeba się uczyć i podążać za innymi krajami, w których gospodarstwo rolne stało się już umiejętnością i specjalnym zawodem. Dziś młodzież obywatelska zniechęcona ciągłymi niepowodzeniami na gospodarstwie swoich rodziców lub krewnych, ciśnie się do uniwersytetów na studia prawnicze, aby w służbie rządowej otrzymać jaki kawałek chleba... Ten nieproporcjonalny zwrot w tę stronę, daje najoczniejszy dowód upadku zaufania we własne siły, tamuje inicjatywę osobistą, skazując człowieka, na skromny ale niby pewniejszy byt urzędniczy.

Toż samo działo się w królestwie przed 1863 rokiem, i dopiero trzeba było wykluczenia od urzędowania Polaków, żeby ich zmusić do więcej pozytywnego myślenia o sobie i swojej przyszłości... Okoliczność ta właśnie, popełniła młodzież na inne pole i sprowadziła ten świetny rozwój ekonomicznych i społecznych sił narodu, którego tak Kongresowce zazdrościmy. Czyż więc i Galicja, przy całej swobodzie konstytucyjnej i wolności obierania sobie stanu, — ma sama oczekiwać podobnej katastrofy, to jest żeby jej młodzież zmuszona do zmiany kierunku ich zajęć? Zdaje nam się, że do tego przyjsć nie powinno i ambicja nasza nie pozwoli, aby nam wciąż zarzucano ospałość i zwątpienie. Narzekamy, że żydzi coraz bardziej wyciskają szlachtę z jej własności, sami zajmując przy roli jej miejsce, a przecież ci żydzi gospodarują w tych samych warunkach i jakos żyją, wzbogacają się i nie narzekają. Wina zatem nie leży o tyle w sytuacji, o ile w nas samych i doprawdy czas byłoby przejrzeć się w rzeczywistość zwierciadłem. O ile żydzi górują nad nimi przebiegłością i sprytem, o tyle my powinniśmy mieć wyższość nad nimi nauką, oszczędnością i wytrwałością. Jeżeli nie na swoim, to na cudzym możemy gospodarować z korzyścią dla siebie i dla kraju. Praca na roli może być cięższą i mniej pewną niż przy biurku urzędnika, lecz daje niezależność i swobodę przekonania; rozbudza zaufanie do sił własnych, stwarza nowe drogi, zmuszając do nieustannego ruchu dla zapewnienia sobie i rodzinie przyszłości — a każdy ruch, to jest życie. Dziś po prostu boimy się żydów, a tymczasem przypatrzwszy się im bliżej, nie są oni tak straszni, żeby nie można podjąć z nimi walki... Odwagi trochę więcej, pracy i nauki!

We Lwowie upały, a skutkiem tego skłonność do burd i skandalów sięgająca nawet ku przedmieściom. W Hołosku próbowano w zeszlą sobotę na małą skalę walki siermięgi z surdudem, a przede wszystkim z hałatem żydowskim. Burda nie zupełnie się udała, bo gdy pokazały się kogucie pióra żandarmerji, bohaterowie z pałkami zniknęli jak kamfora. Co się jednak stało we Lwowie, to przynajmniej oburza do żywego. Kilku złoczyńców dopuściło się kradzieży monstrancji i innych przyborów kościelnych w kościele X. X. Dominikanów. Jakkolwiek samo świętokradztwo jest zbrodnią, na którą nie lada złoczyńca się odważy, to jednak w wypadku z kradzieżą w kościele Dominikańskim połączona była tak ohydna i wszelkie uczucie ludzkie oburzająca profanacja religji, że doprawdy wierzyć się nie chce, aby takowej mogli się dopuścić ludzie nasi, chrześcijanie, z tak zimną krwią i szatańskim cynizmem. Prędzej niż się spodziewano, złoczyńcy pochwyceni zostali i mamy nadzieję, że sądy nasze karząc przykładowie

zbrodnię, uspokoją tak srodze obrażone uczucia całej ludności miasta.

Powoli już wędrowne ptaki zaczynają powracać do Lwowa z letnich wycieczek. Literatom podobno nie źle się powiodło u wód krajowych; odczyty pana Żaby i znanego podróżnika Horaina, miały dosyć słuchaczy, a p. Władysława Belzę redaktora „Towarzysza pilnych dzieci“ i współpracownika „Dziennika Polskiego“, spotkały liczne owacje przy wyjeździe z Iwonicza, przy których nie pękł wprawdzie żaden mózdzierz jak przy instalacji ks. Stojałowskiego w Kulikowie, ale podobno popękało wiele butelek, z których wznoszono toasty na uczczenie choć skromnych, ale pożytecznych zasług szanownego redaktora...

W końcu mam do podzielenia się z czytelnikami pewną bardzo pocieszającą nowiną. I zasługi małżonków służących wiernie i stale przez lat 25 swoim żonom, będą na przyszłość odpowiednio przez kraj lub państwo wynagrodzone. Co nam zwykłym śmiertelnikom udzielane będzie za tak długoletnią i nieskazitelną służbę — tego jeszcze nie wiem, ale dochodzą nas wieści, że pewien książę niemiecki w rocznicę srebrnego wesela swego, ma zostać królem. Jeżeli się to sprawdzi i jeżeli rzeczywiście wierna i usilna praca jego książęcej wysokości w ten sposób wynagrodzoną zostanie, to i nam jubileuszowym mężom takżebym się coś należało. Służba małżeńska, to nie żart w dzisiejszych czasach, więc ja po porozumieniu się z szanownymi czytelniczkami, proponuję dla takich mężów zakupno z funduszków publicznych nowych peruk, któreby skołataną głowę bohaterów wierności okrywać mogły.

KRONIKA NAUKOWA

Maszyna do stenografowania.

Głównem dążeniem wynalazców, pracujących w dziedzinie mechaniki, jest znalezienie sposobów zastąpienia pracy ręcznej, żmudnej i wymagającej wielkiej wprawy, pracą maszyn, któreby to samo wykonywały szybciej i dokładniej. Pojawiło się w naszym wieku, szczególnie w ostatnich lat dziesiątkach, mnóstwo tego rodzaju przyrządów, z których największego może rozpowszechnienia doczekały się maszyny do szycia.

Gdzie idzie o szybkość pracy, tam ręka ludzka nigdy z maszyną nie może stanąć do współzawodnictwa.

A gdzie szybkość potrzebniejsza, niż przy stenografji, przy notowaniu dokładnem wszystkich słów, wybiegających nieraz rwącym potokiem z ust zapalonego mówcy?

Radzono sobie dotąd uproszczeniem znaków używanych do pisma, tworzeniem liter łączących się dogodnie, co stanowi istotę stenografji; lecz nie zapomniano także o zastosowaniu środków mechanicznych, któreby mogły pracę rąk skutecznie wspierać i przyspieszać.

O jednym z przyrządów służących ku temu celowi, z którym odbywano niedawno w Paryżu próby, podamy niektóre szczegóły, przyjrząwszy

się poprzednio tej sprawie ze stanowiska bardziej ogólnego.

Jaki przyrząd byłby do stenografowania najodpowiedniejszym? Oczywiście taki, który bez niczyjego pośrednictwa, sam zdołałby notować słowa mówcy, utrwalając wyraźnie dźwięki wychodzące podczas mówienia z ust jego.

Przyrząd podobny posiadamy od lat kilku, chociaż nie można go polecić jako praktyczny i odpowiedni.

Fonograf Edisona jest właściwie taką maszyną do stenografowania i gdyby potrafił on ulepszyć, stałby się najdoskonalszym ku temu celowi przyrządem.

Na arkuszu cynfolii, albo też blachy miedzianej, notuje on wszystkie drgania ludzkiej mowy, a potem można wszystkie zanotowane dźwięki napowrót wywołać.

Jest to jeden z najcudowniejszych i najgenjalszych przyrządów, uderzających przede wszystkim zadziwiającą prostotą.

A jednak do stenografowania nie nadaje się wcale. Żeby słowa były dobrze napisane, trzeba mówić głośno, przytykając prawie usta do otworu fonografu. Tego w parlamentach nie można wymagać. A w dodatku powtarzanie głosu nie odbywa się dokładnie. Jedne sylaby wychodzą dobrze, inne niewyraźnie, niektórych liter, jak np. s. f. nie słychać prawie wcale.

Fonograf nie ma jeszcze dotąd żadnego praktycznego zastosowania, mimo że się tak świetnie zapowiadał, i takie w nim pokładano nadzieje. Od czterech lat, jak został wynaleziony, nie zrobiono żadnych stanowczych ulepszeń, mimo że poświęcano się pracy nad nim we wszystkich stronach świata. Jest on niezwykle pouczającym i zajmującym przyrządem w gabinetach fizycznych i niczem więcej.

Rzecz dziwna, że przyrząd wynaleziony i zbudowany przez Edisona w kilku dniach, tak niespodziewany co do swego pomysłu, odkrywający zupełnie nowe pole badań, tak wydający się łatwym do ulepszeń na pierwszy rzut oka, nie postąpił ani na krok naprzód.

Nie należy jednak przesądzać przyszłości, i bez wątpienia, gdyby można było zrobić fonograf czulszym na działanie dźwięków, wyraźniejszym w ich powtarzaniu, stanowiłby on dzielną maszynę do stenografowania, zapisującą nie tylko same słowa, ale przechowującą nawet głos osoby mówiącej. Więcej już nie można byłoby niczego wymagać, jak tylko chyba, żeby przechowywał i powtarzał na zawołanie gesty i wyraz twarzy mówcy.

Tymczasem zadawała się musimy przyrządami mniej doskonałej budowy. Jeszcze na wystawie powszechnej w r. 1878 debiutowała maszyna stenograficzna włoskiego wynalazcy An. Michelego, którą niejednokrotnie widzieliśmy działającą w obec publiczności pod działaniem palców córki wynalazcy.

Od tego czasu maszyna Michelego robiła postępy w praktyce i dziś już senat włoski używa jej wyłącznie w celu stenografowania rozpraw parlamentarnych, a przed kilku tygodniami robiono z nią próbę przed komisją paryskiej izby deputowanych.

Maszyna ta nie działa automatycznie, lecz do używania jej potrzebnym jest współdziałanie rąk wprawnych, grających na klawiaturze, złożonej z dwudziestu klawiszy.

Charakterystyczną cechą aparatu Michelego jest to, że nie zapisuje on ani liter, ani sylab

we właściwym znaczeniu tego słowa, lecz jedynie tylko dźwięki fonetyczne, jakie przy mówieniu dochodzą do ucha osoby grającej na klawiszach.

Każdy taki dźwięk potrzebuje uderzenia na raz kilku klawiszy, z których każdy niesie na końcu osobny znaczek, odbijający się za pościśnięciem na pasku papierowym, który się automatycznie z wałka rozwija. Stenograf grający na przyrządzie tego rodzaju, uważa na dźwięki mowy i rozkładając je na składniki fonetyczne, co po pewnej wprawie z nader wielką szybkością następuje, uderza palcami odpowiednie klawisze, gra właściwie ciągle akordami.

Maszyna Michelego ma wielką zaletę, że jest ogólną, to jest, że się zastosowywać daje do wszystkich języków. Nie notuje ona bowiem wcale ortograficznego rozkładu spółgłosek i samogłosek w sylabach, ale tylko same dźwięki zasadnicze, które się wszędzie powtarzają. Kto się na przyrządzie Michelego nauczył stenografować jakkolwiek inną mową, ten już potem może notować każdą inną, zupełnie nawet dlań niezrozumiałą. Odbywa się to oczywiście kosztem dokładności, gdyż daleko trudniej jest pochwycić dźwięki mowy, której wcale nie znamy.

Ilość słów, które oratorowie wypowiadają w ciągu jednej minuty, gdy są w toku mówienia, waha się między osmdziesięcioma a stu osmdziesięcioma. Za pomocą przyrządu Michelego dobrze wyuczony manipulator może zanotować słów dwieście, a więc aż nad potrzebę użytku parlamentarnego.

Nadto aparat taki mechaniczny daje się łatwo zastosować do przenoszenia depesz stenografowanych na znaczne odległości; trzeba tylko użyć do pomocy prądu elektrycznego i drutów. Klawiatura może się znajdować w sali rozpraw, a przyrząd odbijający znaki w drukarni jakiegokolwiek oddalonego dziennika, w pobliżu zecera, umiającego odczytywać te znaki, więc będącego w stanie składać do druku mowę natychmiast po jej wypowiedzeniu, a nawet częściowo w czasie jej trwania.

W każdym jednak razie przyrząd Michelego nie jest ostatnim wyrazem maszyn do stenografowania i wynalazcy mają jeszcze obszerne pole do robienia ulepszeń.

B. A.

„PAN TADEUSZ“ SŁOWACKIEGO.

NOTATKA.

(Dokończenie).

Porównanie poetyckie wywołuje w umyśle kojarzenie się wyobrażeń i pojęć do pewnego stopnia, tak jak hieroglificzne pismo rodzi przypomnienie wyobrażeń dźwiękowych. Starożytny Egipcjanin stawia przed oczy jakiegoś całego wyobrażenia zmysłową postać, aby z jego nazwy tylko pierwszą wziąć sylabę dla połączenia z inną; tak samo dla pochwycenia jednej cechy przedstawianego przedmiotu lub jednego momentu rzuconego obrazu, przy porównaniu poetyckim odrywa się wyobrażenia na bok i cały nowy obraz się jej ukazuje. Odrywanie to, przerzucanie i stawianie dwóch obrazów jednocześnie prawie, jest właśnie takim psychicznym wysiłkiem, takim podrażnieniem mózgowem, które mile ducha łechce i piękności robi wrażenie i wówczas

nawet jest przyjemne, jeśli gwałtownością tej szarpaniny ducha obezwładni, zmęczy, znuży...

Widzieliśmy przed chwilą urywek w porównania nie obsfity, a nawet, przyznać trzeba, że w porównaniach o wiele mickiewiczowskim ustępujący, chociaż ten właśnie brak porównań był jego oryginalną potęgą, jego piękną samoistną... nie brak atoli Juliuszowi odwagi na takie miotanie porównaniami wyobraźni twojej, że nie sposób za nim podążyć, że ledwie sił skrzydłom imaginacji twojej starczy, aby wlec się za nim aż tam, gdzie cię zatrzyma nareszcie, gdzie pozwoli ci się uspokoić, pobłażliwy na słabość twego uskrzydlenia...

Oto ustęp, dający miarę na co się on porywa w tym kierunku:

«Tak ptactwem gadająca, choć mgłami ponura,
Stała się ta litewska, przemieniona natura,
Zawsze żywa — i z duchem ludzi zawsze zgodna,
Dobra — niemartwa — chociaż skościła i chłodna.
Właśnie, jak Litwin, który wśród świętych przymierzy
Skupił się w sobie — stęzał — niby trupem leży,
A jednak pełny życia i wielkiej pamięci,
Gdy mu wróg wbiegnie, on go niby wąż okręci,
Od nóg po pierś opierścieni... wieńców skróci,
Rozwinie się — i trupa z objęcia wyrzuci...»

Albo to samo w innym warjancie:

«A jednak, kiedy mu wróg wbiegnie bez pamięci,
Z dołu powstaje — od nóg jak wąż się okręci
Wkoło bioder — pod pierś cicho ciało opierścieni,
Aż nareszcie wrogowi z pod jego ramienia
Wytknie głowę i cichy śmiech pokaże smoczy,
Twarz tuż przy twarzy, przed oczyma oczy...»

W dwu tych obrobieniach jednego i tego samego obrazu nie wystarcza mu porównanie *skostniałej natury litewskiej ze skupionym* i jak *trup leżącym* w zasadzce Litwinem; pegaz mu zanadto rozszalał, zanadto się rozbiegał, porzuca *naturę przemienioną*, a swym trupim lubuje się Litwinem i jeszcze go porównywa z wężem i już tylko jego węzową z wrogiem walką zajęty. Jest to do pewnego stopnia, że tak powiemy, swawola rozbijającej wyobraźni — to już za wiele ni by, bo nietylko płaczą się tu dwa obrazy, ale jeden z nich tym wybrykiem zupełnie z oczu się odsuwa, zupełnie się zakrywa, aby tem efektowniejszem było jego zjawienie się na nowo, aby ci jako stary znajomy, w rozglądaniu nie takiego wyteżenia żądający, dał możność spocząć po harcach, jakie go poprzedziły przed chwilą...

Urywki dotąd powołane, pod względem formy ciekawe czy mówią za przypuszczeniem, że Juliusz artystycznością Adamowi dorówna, lub przewyższyć go może, czy też przypuszczenia te obalają i koniecznie jego artyzm na niższym szczeblu kładą; może spór o to powstać i trwać nawet dłużej — trwać póty, póki „estetyka,“ syzyfowo określająca istotę piękna, od wieków już wielu, ciągle ją tylko określać będzie, a póki jej nie określą należycie, raz nareszcie... ale to nie wszystko... Mamy jeszcze jeden w tym rękopiśmie ustęp — ostatni, — po nim już nic nam nie zostaje*), ale on właśnie najważniejszy, najwięcej mówi...

*) Opuściliśmy jeszcze tylko ustęp następujący:

«O zimo! twoją piękność smętną — uciszenie
Lasów i rzadkie słońca złotego promienie,
Czuję dziś nakształt czaru i nakształt uroku,
Bom w życiu przyszedł na tę smętną porę roku.
(Warjant: Bom już w życiu uczułem czwartą porę roku).
Która wszystko ucisza i pod śniegiem chłonie;
Z miłościąbym więc ciche zamieszkał ustroenie,
W okrąg którego puszcza czerni się bezbrzeżna,
A nad nią we mgłach błyszczy Matka Boska Śnieżna.»
(Warjant: Nad którym czuwa Sta Matka Boska Śnieżna).

«W Soplicowie, choć już się zbliżyły zapusty,
Zjazdu nie było — dom był cichy — prawie pusty.
Wczoraj właśnie francuskie oficerstwo starsze,
Które wtenczas przez marsze i kontramarsze
Włóczyło się z armią dowozową,
Opuściło gościnne zawsze Soplicowo...»

... ..
Noc była wietrzna, śnieżna, a wichry śpiewały
W kominach swoje zwykłe płaczące chorały —
Kobiety przy dwóch świecach — w bawialnym pokoju
Siedziały przy robótce, w zaniedbanym stroju,
Same jedne, wizyt się w domu swoim żadnych
Nie spodziewając, dla mgieł i czasów szkaradnych...
Gdy nagle przed oknami — jak świst, grzechot węży —
Zaszumiał przeraźliwie straszny brzęk uprzęży —
Straszny dla domu łoskot, z którym zwykle jadą
Sanie ogromne, liczne — tak zwaną szlichtadą,
Z napaścią, która domy półsennie odurza.
Jak napad zbójców. Złękała się *Telimena* mocno,
Spojrawszy na szlafroczek i odzież nocną,
Spojrzała przez okiennic szpary... a śnieg złoty,
Pełno kagańców... bieży... zrywa papiloty...
W oczach widać, że straszne zobaczyła mary...
Lecz niebrzydkie... Krzyknęła do Zosi: «huzary!»
I uciekła...

Tymczasem wchodzi do pokoju
Człowiek nie wielki wzrostem, w podróżnego stroju,
Sądziłbyś, że cywilny, gdyby nie miał szpady
Pod pachą — dość piękny na twarzy i bladej,
Mimo zimna... Twarz była, jako marmur niezmienna,
Owszem, rzekłbyś, że bielsza od mrozu — promienna,
Jak miesiąc złota... Oddał lekki ukłon Zosi...
Ona się złękała... oczy spuszcza... nie podnosi,
Nie śmie, stoi jak posąg — a w sobie rozważa,
Czy ma uciec, czy zostać... Poznała cesarza
Napoleona...»

Tu Juliusz do zwykłej sobie wyrósł miary, stanął w całym ogromie swej poetyckiej wielkości... Artyzmem tylko mierzyć się już nie może więcej i nie chce, pewniejszej chwytą się broni: kładzie w artystyczność myśl swoją... i co dziwna, na tem urywa, jakby już pewny zwycięstwa swego, jakby już przeświadczony, że nie ustąpi...

Może za śmiało powiemy, ale się nam zdaje koniecznie, że po stworzeniu tego ustępu, po zrodzeniu się jego myśli, Słowacki mógł z wysoka spojrzeć na dwanaście ksiąg „ostatniego na Litwie zajazdu,“ w którym, doprawdy, za mało ducha tego roku, któremu Mickiewicz poświęcił swoją tak bardzo piękną apostrofę: „O roku ów...“

Może zresztą w „Panu Tadeuszu“ i dosyć napoleońskich czasów, jeśliby Słowacki chciał ich z tego tylko poruszyć stanowiska, co Mickiewicz... ale właśnie wprowadzenie odrazu w opowiadanie samego Napoleona — tego bóstwa naszego mesjanizmu, poczynając od Hoene-Wrońskiego, a na samym Mickiewiczu kończąc, — wprowadzenie do Soplicowa *cesarza Napoleona*, mówi dowodnie, że Słowacki nie mógłby się tak przemódz, przełamać, aby tyle tylko w swego „Pana Tadeusza“ napoleońskiego okresu naszych dziejów włożyć, ile go mamy w ranach Robaka, albo ułańskim mundurze Tadeusza...

Pomińmy to, że mu w traktaciku poetycznym „O idei“ wcale do smaku ułańskie nie przypadają ideały, pamiętajmy, że u niego *dnia siódmego Bóg stworzył człowieka Napoleona*... Napoleon u naszych mesjanistów — to niby jakiejś idei uosobienie, dziwnym trafem jakimś związał się on u nich z całym ich przespołecznieniem ideałem; trudno więc prawie wątpić, że takby go właśnie i w tym razie malował Słowacki... Mniejsza o to, czy słusznie lub niesłusznie, do Napoleonaby pewną ideę przypiął, owszem najprawdopodobniejsza, że niebardzoby go się trzymała i nienaturalnie do niego sztukowaną była, ale zawsze mielibyśmy w rzecz tę koniecznie jakąś

społeczną ideę wplątana. Więcejby to może epos Juliusza od starożytnych odrzuciło pierwowzorów, jak to ma miejsce z „Panem Tadeuszem“ Mickiewicza, ale od czasu jak klasycyzmu czcze i despotyczne pogruchołano formy, przestało to być grzechem.

Pewna, najpewniejsza, że u Słowackiego obrazy Soplicowa nie byłyby *ostatniego zajazdu na Litwie* obrazami, nie byłyby *ostatniem* strojnem zestarzałego, zdziwaczałego często świata pożegnaniem, jenoby się tam nowego życia wyłęgały zarody. Jesliby się i nawijały Słowackiemu strupieszale umierającego świata ostatki, toby je niewątpliwie swoją żółcią i satyrycznością w taką tyłką tła mozaikę pozlepił, na jakim Biernowskiego szkicował...

Ale dajmy pokój temu... bo to krainy przypuszczeń, żal z nich wybiedz jeno, bo w rzeczywistości spotkamy tylko Zosię ze spuszczone mi oczami przed *cesarzem Napoleonem*... Ale i za to wdzięczni być musimy nieśmiertelnemu autorowi „Grobu Agamemnona;“ bo to wysoce poetyczny moment... Spotkanie Zosi z Tadeuszem u Mickiewicza, choć bardzo piękne, choć bardzo udatnie malowane, zaprawdę, temu spotkaniu nie dorówna, nie zważając na to, że grzeszy już ono prawie dramatycznością... prawie chcesz się przerazić za Zosię, prawie żal jej... rozumiesz, jak trudno jej *oczy podnieść*, jak mózg jej pracuje nad pytaniem trudnym: *czy ma uciec czy zostać?*...

I jak bardzo mało się spodziewasz tego mistrzowskiego momentu! Jak nic nie wiesz... jak huczy ci jeszcze w uszach piskliwy wrzask Telimeny: *husary!*... jak widzisz w Zosi tylko naiwne, zakłopotane i sromające się niewiedzieć czego dziewczątka... kiedy raptownie, najniespodziewanej chwytasz cały obrazu pomysł, kiedyś rozradowany, zachwycony i prawie tak jak Zosia osłupiały wobec tego nad wyraz odważnego, a tak pysznego odwagą swoją zestawienia!...

Czy tych urywków parę powie nam o Juliuszu co nowego? Czy zaważą one jak grosz wdowi na szali, która ma rozstrzygnąć o większym społeczeństwu wpływie na życie nasze, jego lub Adama?... Ha, nie wiemy!... Dla nas nawet szala ta jeszcze waży się tylko i nie zdaje się ani na jedną, ani na drugą stronę więcej przechylać; ale to pewna, że artyzm Adamowy, jak i artyzm wszelki, choćby większy jeszcze niż u niego, sam przez się coraz mniej waży i coraz mniej ważyć musi...

Dla nas jedno pewna, że i z temi urywkami, że i z całą po Juliuszu spuścizną, jaka się już odnalazła lub odnajdzie, zarówno jak i bez niej, poezja jego, wedle słów wstępu do „Psalmu Żalu,“ zawsze będzie... „przedziwnością polskiego języka, brzmiającą cudownymi wdziękami, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczoną, wyobrazicielką niektórych dążeń i myśli krążących po widnokręgach umysłowych epoki naszej... Jeden ją wysnuł z piersi swych — ale po wielu piersiach drzemia zawarte w niej tchnienia...“

W. P.

TEATR.

Szczęśliwą myśl miał pan Miłaszewski, przenosząc na lato przedstawienia do budy cyrkowej przy ulicy Majerowskiej, którą przekształcił na przyzwoity teatr letni, bacząc przy-

tem na wygodę publiczności i na należyte urządzenie sceny.

Dawniejsze teatra letnie zazwyczaj niefortunnie były urządzone, publiczność bowiem przy większym natłoku tak samo jak w teatrze hr. Skarbka narażoną była na nieznośne gorąco, scena zaś robiła wrażenie pospolitej szopki. W tegorocznym teatrze scena jest mało co mniejszą od sceny skarbkowskiej, wskutek czego wszelkiego rodzaju sztuki mogą być wystawiane. Pozostała na czas ogórkowy publiczność lwowska dość licznie odwiedza były cyrk, mimo że dyrekcja nie bardzo szczęśliwie układa repertoar. Jako nowość wprowadziła dyrekcja na scenę letnią od lat kilkunastu zapomnianą sztukę „Bem w Siedmiogrodzie,“ którą zdaniem naszym należało pozostawić w bibliotece teatralnej na wieczną pamiątkę, — nie posiada ona bowiem żadnej zalety, któraby ją zalecała do wznawiania, tembardziej, że dyrekcja nie oszczędziła kosztów, aby ją jak najstaraniej wystawić, chociaż wydatek na wystawienie sztuki lepszej wartości korzystniej mógł być użyty. O samej sztuce, jako sztuce, nie warto obszerniej mówić. Jest to zlepek luźnych scen, przeplatany marszami wojsk, śpiewami i tańcami węgierskimi i polskimi, a piękna postać Bema, odgrywa zbyt małą rolę, by sztukę tę czyniła sympatyczną. Nadto brak temu obrazkowi charakterystyki ludowej, czem tak znakomicie np. podobny obrazek Anczyca „Kościuszko pod Raclawicami“ celuje.

Powiadam *podobny*, gdyż nie da się zaprzeczyć, że najnowszy utwór naszego nieprześcignionego pisarza sztuk ludowych, wielkie ma podobieństwo do starszego „Bema,“ szczególnie w przyczynach zwycięstw (w tych obrazkach) obu wielkich wodzów; tak bowiem Bem jak i Kościuszko właściwie wszystko zawdzięcza szlachetnemu żydowi, niezwyktemu patryjocie, poświęcającemu się z miłości ojczyzny bezinteresownie szpiegostwu, że nie wspomnę już o innych analogicznych postaciach i podobieństwach scen. Niepotrzebuję dodawać, że „Kościuszko pod Raclawicami“ o całe niebo przewyższa swą tendencją patryjotyczną i układem scenicznym powyższą ramotę.

W dziale operetkowym przybyła nowa operetka, dawniejsze dzieło Lecoq'a „Kapelusz bandyty“ i wystawioną została również bardzo starannie, tak pod względem wokalnym jak i wystawy sceniczej. Libretto niezbyt dowcipne ale bogate w pieprzne dwuznaczniki i wcale niedwuznaczne sceny rozpustne; muzyka niebogata w świeże motywa, ale bardzo przyjemna, miejscami górująca nad innymi utworami tegoż kompozytora siłą komiczną. Operetka znalazła u publiczności jak najlepsze przyjęcie, a to dzięki wybornej grze pny: Bocskaj, i zawsze sumiennej i sympatycznej śpiewaczki pani Skalskiej.

Wszędzie a tak samo i u nas w sezonie letnim odbywają się debiuty młodych adeptów sztuki jako też występy gościnne artystów scen innych. Co do tych ostatnich, to po wyjeździe p. Rapackiego, nie mieliśmy już sposobności podziwiać żadnego gościa na scenie naszej. Dyrekcja nie postarała się, a może i nie mogła, pozyskać dotychczas nikogo ze świata artystycznego warszawskiego na gościnne występy. Słychać jedynie, że p. Leszczyński ma podobno przybyć w sierpniu do Lwowa; czy jednak publiczność nasza bardzo będzie ciekawa jego wy-

stępów, wątpimy. — Za największą zasługę obecnej dyrekcji poczytujemy jej starania około wyszukiwania nowych talentów, z czego zresztą p. Miłaszewski znanym jest z przeszłej epoki swego dyrektorstwa. Przysparzaniem teatrowi świeżych i młodych sił najbardziej przyczynić się można do rozwoju sztuki dramatycznej — a dźać się to może jedynie wówczas, jeżeli dyrekcja *dotatnio* w tym kierunku pracuje. Obecna dyrekcja rzeczywiście zasługuje na uznanie za swoje uprzejme, chętne i gorliwe zajęcie się młode mi osobami, pragnącemi dostać się do świątyni Melpomeny, a chociaż mało która lub który z debiutantów ostatecznie okaże talent rzeczywisty, to nie zmniejsza jej zasługi, gdyż każdy przyznać musi, że jedynie przez takie próby możebnem jest wyszukanie prawdziwego talentu. Dla publiczności nie jest to wprawdzie pożądanem patrzeć na nieudane popisy, ale w interesie sztuki koniecznem i nieuniknionem.

Od czasu objęcia dyrekcji teatru przez pana Miłaszewskiego debiutowali: pny Cichočka, Lempicka, Helon, Dworska, Ruszkowska i pp. Myszkowski, Wysocki, Barski. Panna Cichočka, inteligentna i posiadająca pewną dystynkcję, aktorka, okazała się pożądanym nabytkiem do ról salonowych; używaną jednak bywa najniestosownie i w operetkach. Debiut p. Lempickiej zupełnie się nie powiódł, a pny Helon nie byłby tak niepomysłnie wypadł, gdyby — w odpowiedniejszej roli wystąpiła, debiutantka bowiem nie jest bez talentu. Do oddania ról naiwnych prócz talentu posiadać trzeba koniecznie pewne warunki zewnętrzne, jakimi są naturalny wdzięk, odpowiedni głos, temperament, właściwości rysów twarzy itd. Pna Helon przymiotów tych nie posiada, przeto *fiasco* w roli naiwnej było nieuniknione. Pna Dworska z czasem może być użyteczną śpiewaczką operetkową, posiada bowiem głos miły i dźwięczny. Z najświetniejszym jednak sukcesem debiutowała pna Ruszkowska, mianowicie w rolach wieśniaczek, które tak dobrze przypadają do usposobienia młodej aktorki, a nawet wszystkie zewnętrzne warunki sceniczne odpowiadają w zupełności postaciom, na naszej scenie zazwyczaj licho przedstawianym, że dzisiaj już można śmiało wróżyć debiutantce świetną przyszłość w tym kierunku, jeżeli przy niezaprzeczeniu wielkim talentie sumiennie będzie pracować i jeżeli reżyserja zrozumiawszy charakter jej talentu, nie będzie spaczać go narzucaniem ról „wdówek salonowych“, które muszą wypaść z krzywdą dla sztuki i aktorki. Z dotychczasowych jej występów najlepiej wypadł debiut w „Kawalerze marcowym“; publiczność była zachwyconą, a wraz z nią i sprawozdawcy pism codziennych, którzy nazajutrz obsypali debiutantkę jednomyślnie zachęcającymi pochwałami, do których szczerze się przyłączamy w rzetelnem przekonaniu o prawdziwym talentcie pny Ruszkowskiej.

Z debiutantów dotychczas tylko p. Myszkowski okazał się bardzo pożytecznym nabytkiem dla ról komicznych, szczególnie w operetkach, byle nadal nie grzeszył jednostajnością w ruchach i śmiechu, a nadto nie psuł sobie reputacji inteligentnego aktora niedorzecznymi kupletami, jak to w „Księżnej Gerolstein“ miało miejsce. — Pan Barski z swym pięknym głosem i wcale swobodną grą może wkrótce zająć dobre stanowisko w naszej operetce.

W poniedziałek dnia 8. bm. wystąpiła pani Guerard, która za poprzedniej dyrekcji należała

do składu opery, w „Księżnej Gerolstein” w tytułowej partji. Występ ten nastąpił po kilku-miesięcznym kształceniu się u wiedeńskich nauczycieli śpiewu (nie wiem u których), nie przyniósł on jednak chluby ani nauczycielowi ani uczniemu. Szkoda było czasu i atlasu. Ta sama fałszywa intonacja, która niegdyś przerażała słuchaczy, pozostała — do tego przybyło jeszcze forsowanie wysokich tonów, przechodzących w krzyk drażniący w wysokim stopniu nerwy, przez co słuchanie tej spiewaczki staje się prawdziwą męczarnią.

Hilary J.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

* * * *Munimenta Poloniae praeistorica* („Zabytki przedhistoryczne ziem polskich”), publikacja rozpoczęta przez Akademię umiejętności, a tak energicznie popierana przez korespondentów wszystkich naszych czasopism, wychodzi ciągle.

Zeszyt pierwszy zawierał 12 litografij, zaś drugi, obecnie handlowi księgarskiemu oddany, ma ich 13.

Tablice i tekst w formie wielkiego quarto; edycja luksusowa.

W załączeniu przekład francuski, dokonany przez p. S. Moindron.

W dwóch tych zeszytach jest rzecz G. Ossowskiego o zabytkach Prus królewskich, z wykopalisk: w Chełmach, Brodnicy, Buchwałdzie, Nawrze, Gościeradzu, Bralewnicy, Przyrówku, Skurezu, JabłóWKu, w Brodzkich młynach, Gogolewie, Chwarźnie, Kiszewie, Jaryszewach, Obozinie, Gołębiewie, Trąbkach, Czarlinie, Steżycach, Rzepiskach, Dombrowie, Kobusiewie, Żukowie, Matarni.

Na tablicach litografowanych, oprócz map i planów topograficznych, przedstawiono w rysunkach w obydwóch zeszytach przeszło 200 przedmiotów.

I rysunki i tekst charakteryzuje chińska iście dokładność.

* * * Ukazała się broszurka p. t. „Modrzewski jako teolog” ks. Władysława Knapińskiego.

Jest to odbitka z drukującego się XIV tomu „Encyklopedji kościelnej.”

Znakomity nasz publicysta przedstawionym tu jest z nowego stanowiska, a mianowicie ze względu na swoje projekty w sprawach kościelnych.

Autor w źródłowej pracy rozpatruje reformatorskie dążności Modrzewskiego, zaznaczając, iż uległ wpływom Melanchtona podczas pobytu za granicą.

Bezstronny pogląd i głęboka nauka cechują tę rozprawę znanego z sumiennych krytyk i historycznych studjów autora, który współpracownictwem swoim w „Przeglądzie katol.” i „Encyklopedji kościelnej” zjednał sobie uznanie powszechne.

* * * „Kongres literacki” międzynarodowy, czwarty z kolei, odbędzie się w tym roku w dniach od 19. do 24. września w Wiedniu, gdzie zawiązał się już komitet lokalny dla przyjęcia gości i poczynienia przygotowań. Międzynarodowe stowarzyszenie literackie, którego wyrazem są doroczne kongresy, ma na celu uregulowanie i zabezpieczenie prawa własności literackiej oraz popieranie wszelkich wspólnych interesów piszących.

* * * Na posiedzeniu Akademji umiejętności w Sztokholmie, 10. czerwca, doniósł profesor Gil-

den o nader interesującym pod względem naukowym odkryciu.

W Archiwum obserwatorium sztokholmskiego odkrył asystent Lindhagen opis rozprawy Kopernika, więcej zupełnej niż wszystkie dotąd znane, która zatem wypełniała dużą lukę w pismach pozostałych po wielkim astronomie.

Wspomniana rozprawa nosi tytuł: »*Nicolai Copernici de hypothaesibus motuum coelestium a se constitutis commentariolus*» i jest wziętą w egzemplarz dzieła Kopernika »*De revolutionibus orbium coelestium*», który był swojego czasu w posiadaniu sławnego astronoma Heveliusa w Gdańsku.

Rozprawa ta wraz z wstępem napisanym przez profesora Lindhagen ma być wkrótce wydrukowana w czasopiśmie Akademji umiejętności.

* * * Profesor gradeckiej wszechnicy K. Klemensiewicz, wspólnie z prof. Glaxem przedłożył wiedeńskiej Akademji umiejętności rozprawę: „Przyczynki do nauki o zapaleniach”, a prof. uniwersytetu jagiellońskiego dr. Adamiewicz: „O mikroskopijnych naczyniach w rdzeniu paciierzowym człowieka.”

* * * Przy gabinecie archeologicznym uniwersytetu jagiellońskiego powstać ma pod opieką dra Marjana Sokołowskiego gabinet historii sztuki.

* * * W Medjolanie zmarł hr. Karol Barbiano, prezydent akademji sztuk pięknych, poeta, krytyk artystyczny i pedagog.

* * * W Londynie wyszła powieść w trzech tomach przez Alfreda, p. t. »*A lost cause*», osnuta w części na stosunkach polskich.

Autor wzorował swój utwór na stylu Ouidy, lecz nie dorównał jej pod względem wdzięku.

Właściwie kilka osób tylko wchodzi, które nas bliżej interesują.

Postać ks. Jagielly ma rysy udatnie schwycone i przypomina miejscowe typy.

Stosunki za to polskie są niezgodnie z rzeczywistością przedstawione i wyglądają jakby autor czerpał o nich wiadomości z korespondencyj prywatnych.

* * * Emil Zola wykończył dla teatru francuskiego sztukę wypełniającą cały wieczór, zatytułowaną »*Revue*».

* * * Niedawno odbyło się rozstrzygnięcie rozdawnictwa premjów kalendarza *Gwiazdy*, wydane go przez firmę Ungra w Petersburgu.

Premja były trzy, a mianowicie: znany obraz olejny Pruszkowskiego „Madej”, akwarela Kosaka „Na Kleparzu” i karton Andriolego „Porwanie dziwy”.

„Madej” padł na nr. 359 „Na Kleparzu” — na r. 442 i „Porwanie dziwy” — na nr. 1877.

* * * Józef Wieniawski, który obecnie daje koncerta w Londynie i świetnie jest tam przyjmowany, otrzymał zaszczytne zaproszenie przez umyślnie delegowanego z Ameryki dyr. Meftel, na dyrektora mającego się otworzyć konserwatorium w New-Yorku, ze stałą pensją 50.000 franków rocznie (10 tysięcy dolarów w złocie). Artysta nasz, mimo zachęty ze strony A. Rubinsteina, nie zdecydował się jeszcze na przyjęcie zaproszenia i zostawił to głębszemu zastanowieniu.

Spółeczne i ekonomiczne.

* * * W Tryeście w roku przyszłym odbędzie się austro-węgierska przemysłowo-rolnicza wystawa; gmach wystawy rozciągać się będzie na 20,000 metrów kwadratowych powierzchni.

* * * W czasopiśmie „Inżynierja i budownictwo galicyjskie” wydział krajowy ogłasza konkurs na

dzieło lub podręcznik o „wyrobie nafty i zużycowaniu wszelkich pobocznych produktów przy tym wyrobie otrzymanych”. Nagród trzy: zlr. 800, 400 i 200. Program dzieła ciekawi znaleźć mogą w numerach 60 i 61 powyższego czasopisma.

* * * W dniach od 30-go września do 5-go października r. b., odbywać się będzie we Lwowie wystawa ogrodniczo-pszczelnicza.

* * * Według najnowszych fachowych poszukiwań, *Phylloxera vastatrix* silnie się rozmnożyła w Istriji i zagraża zupełnem wyniszczeniem winnicom w Karste i Krainie, a szczególnie w Wippach.

* * * W Krakowie ministerjum udzieliło 30,000 guldenów, na budowę nowej oranżerji w ogrodzie botanicznym.

* * * *Jarzyny zamrożone*. Niezależnie od istniejących już stowarzyszeń, mających na celu zaopatrywanie targu londyńskiego w produkta pokarmowe z Australji, utworzyło się jeszcze towarzystwo, które oprócz mięsa, ma zamiar sprowadzać z Australji do Anglji wielkie ilości jarzyn w stanie zamrożonym. Australczycy są przekonani, że artykuły te dojdą na miejsce w stanie mogącym oprzeć się wszelkiej konkurencji. Wspomnieć tu wypada, że jarzyny z obcych krajów do Australji przeniesione i tam hodowane, bynajmniej się nie wyradzają i nie tracą przymiotów swoich. W Indjach dzieje się n. p. przeciwnie. Przeniesione tu z Anglji kapusty, grochy, marchew a nawet kartofle, po dwóch lub trzech latach tak się zmieniają, że zaledwie rozpoznać je można. Nawet następuje to pomimo najstaranniejszego doboru nasienia. Tymczasem w Australji jarzyny zagraniczne nie tylko się zachowują charakterystyczną postać i własności, ale nawet lepszemu nabierają smaku i wyższych zalet, niż na rodzinnej ziemi. Jest to okoliczność nie bez znaczenia, skoro chodzi o sprowadzenie ich z Australji do Europy.

* * * Zebranemu w Wersalu kongresowi piwowarów przedstawiono następujące szczegóły o wyrobie piwa.

I tak w Europie istnieje obecnie około 40,000 browarów, wyrabiających rocznie blisko 102 milionów hektolitrow piwa, z czego przypada na Wielką Brytanię 35,682,591, na Prusy 14,480,909, na Bawarię 11,852,591, na Austrię 11,180,689, na Francję 7,090,000, na Rosję 1,200,000 hektolitrow.

Co się tyczy konsumcji, takowa jest zawsze najwyższa w Bawarji, gdzie przeciętnie wypada na rok i na głowę 269 litrów, potem idzie Belgja, gdzie na mieszkańca przypada 149 litrów, w Anglji—143, w Niemczech z wyjątkiem Bawarji—94, w Szkocji—44, w Irlandji—42, w Austrii—31, we Francji—21, w Rosji zaś zaledwie dwa litry na głowę.

* * * Spostrzeżenie. Niemieckie gazety zrobiły następujące spostrzeżenie.

Niemcy wprowadziły w użycie termometr systemu Réaumura, Francuza.

Francja — Celsjusza, Szweda.

Rosja — Leslina Anglika.

Anglja — Fahrenheita, Niemca.

* * * Do „Daily News” donoszą z Nowego Yorku, iż w Stanach Zjednoczonych skonstatowano w ciągu kilku dni z górą 300 wypadków śmierci wskutek porażenia słonecznego. Najwięcej ofiar poniosło miasto Dayton w Ohio, gdzie w jednym dniu zmarło 30 osób. W Nowym Yorku przy 98 stopniach Fahrenheita zachorowało w jednym dniu 21 osób, z których niektórzy zmarli, a inni zapadli w ciężką chorobę.

Treść: Nawrócona, nowela Zorjana. (c. d.) — Wspomnienia Kossutha. — Myśli, wiersz T. Lenartowicza. — Kronika tygodniowa. — Kronika naukowa, przez B. Abakanowicza. — „Pan Tadeusz” Słowackiego; notatka (dok.) — Teatr. — Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, tom III-ci, arkusz I.